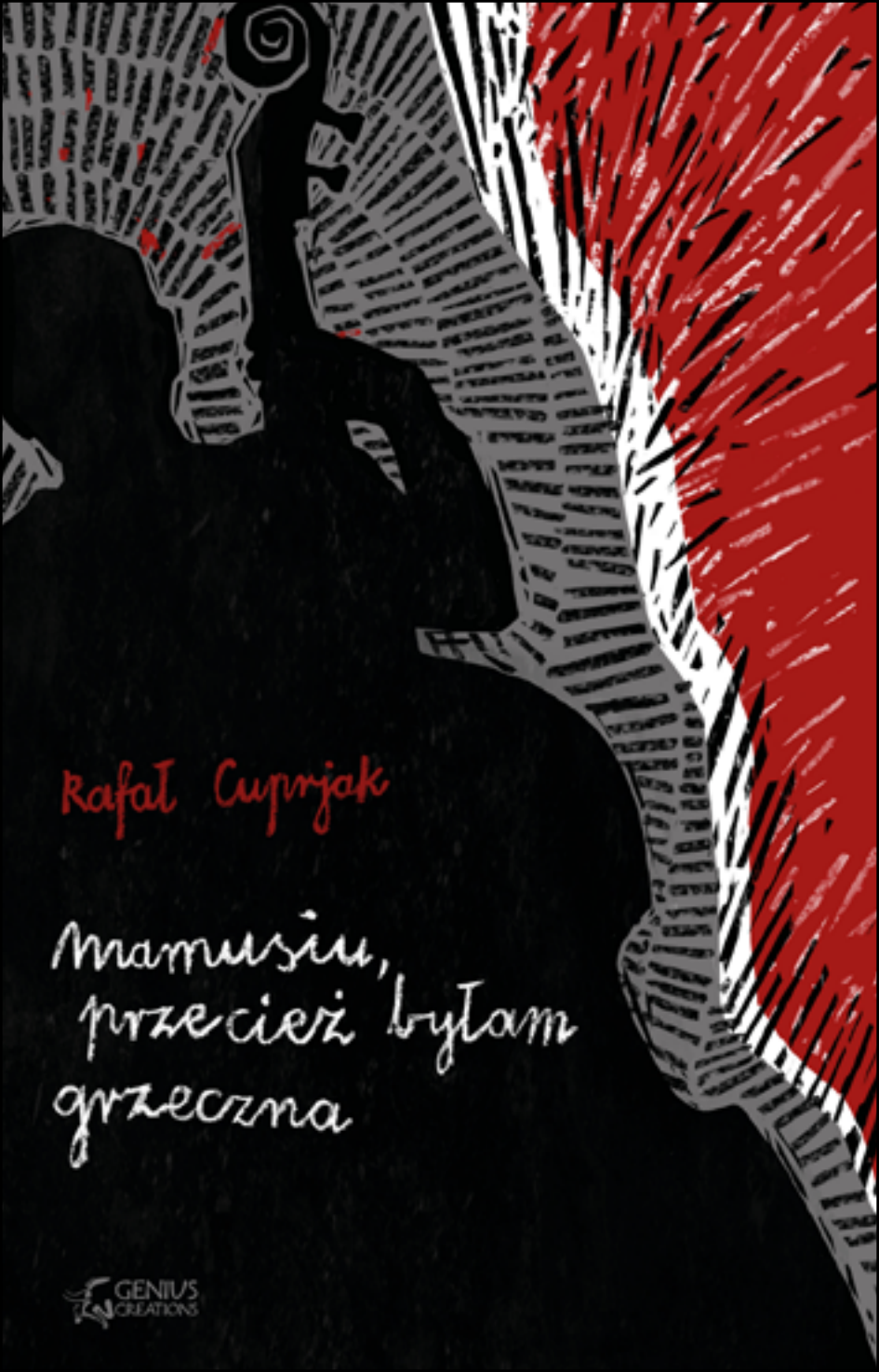




Rafał Cypriak

Mamusi,
przecież byłam
grzeczna

Tatusiowi, najlepszemu przyjacielowi z dzieciństwa

*Dzieci wołały: Mamusiu!
ja przecież byłem grzeczny!
Ciemno! Ciemno!*
Tadeusz Różewicz

SPIIS TREŚCI

NARODZINY	5
DZIECIĄTKO	11
CHŁOPIEC	82
SPÓDNICZKA	152
ŚWIADOMY	219
MESJASZ	285

NARODZINY

*po tylu kilometrach sześciennych nikotyny
od ruskich przemycanej pępowiną
tylu litrach wódki
chciałaś mnie usunąć mamó
skakałaś na piętach z drugiego piętra
a ja fruwałem w macicy
aż wyrosły mi skrzydła
jego narodziny to nie cud powiedział lekarz
a skrzydła to nie skrzydła
złamane obojczyki
nic nadzwyczajnego*

Gadali, że to dziwak, że od nadmiaru pieniędzy całkiem mu się pod czaszką poprzewracało. Kamienicę postawił przy Teatralnej, w samym centrum. Piękna, nowoczesna, z czerwonej cegły. Wszyscy czekali, aż osiadzie tam z rodziną. Byli tacy, co próbowali wyciągnąć informacje:

– A jakie plany, szanowny panie Jerzy? A cóż pan Wolański zamierza? Jaki interesik tym razem?

Ale on śmiał się tylko i nie zamierzał puszczać pary z gęby. W końcu, po paru tygodniach, zupełnie niespodziewanie, zwołał artystów wszelakich z okolicy, z każdym porozmawiał, wysłuchał i wreszcie wybrał dziesięciu, którzy wydali mu się najbardziej odpowiedni.

Zamieszkali oni w tej kamienicy i niemal natychmiast wzięli się do pracy, do tworzenia, komponowania, i mieli się o nic się nie martwić, on co chcą załatwi, poza tym czynszu płacić nie muszą, bo to w ramach wsparcia dla współczesnej sztuki, bo według niego ona najważniejsza, dlatego że z ludzkiej duszy wychodzi i dzięki niej stopień wyżej stoimy od zwierząt.

Wprowadzili się szczęśliwcy na jesieni trzydziestego szóstego roku, na początku nieco jednak podejrzliwi. Ale faktem okazało się, co mówił. Rzeczywiście, nie szczędził funduszy, za to dokładnie rozliczał z pracowitości, z sumienności wykonania, żeby na swoim łonie nie wyhodować pasożyta i żeby sprawiedliwości stało się zadość. Sam za to badaniami nad Naturą i Filozofią cały był pochłonięty. Ciągłe powtarzał, że Boga ani na tym świecie nie uświadczysz, ani na żadnym innym, że to czysty zabobon, wyłącznie mity i legendy. Matkę Ziemię winniśmy hołubić, jej pokłony bić. Dopiero wtedy człowiek wzniesie się na wyżyny możliwości, dopiero wówczas będzie spełniony, gdy uszy i oczy szeroko otworzy na otoczenie.

Z powodu tych słów jedynie wrogów sobie zyskiwał. Wielu już nie tylko szeptem się odgrażało. Byli i tacy, co na cały głos utyskiwali, straszili stosem, wiecznością w piekle, i to nie za plecami, ale prosto w oczy. Pojawił się w mieście jakies

cztery lata wcześniej, skupując grunty na potęgę w najlepszych dzielnicach. Wszyscyśmy się spodziewali, że fabryki będzie stawiał albo sklepy jakie, a tu masz ci los.

– Kamienica tandeciarzy! Jeszcze żeby przez szlachetnie urodzonych wirtuozów zamieszкана, przez elitę kultury. Gdzież tam! Lumpy, nieuki, kocmołuchy i łotrzyki, nic ponadto. Margines dosłownie, co nawet powąchać takiej budowli nie powinien.

Wśród jego towarzyszy wyróżniał się niejaki Orzeł, ulubiony artysta malarz, co pochodził spod Ostrołęki, a tym się wyróżniał, że zamiast na płótnie czy papierze, to na różnych innych powierzchniach, na pierwszy rzut oka kompletnie się do tego nienadających, tworzył obrazy. W ten oto sposób przyozdabiał miasto kolorami. Zaś szczególnie znany był z kunsztu upiększania ilustracjami murów ceglaków. Kilka miesięcy ów Orzeł szkice nanosił, aż wreszcie latem trzydziestego szóstego roku na pozbawionych okien bokach budynku namalował ogromne białosrebrzyste skrzydła, całkiem przypominające te husarskie. Pięknie lśniły na czerwonym tle, tak realistyczne, aż się zdawało, że gmach za moment zerwie się do lotu.

Potężne zdumienie wśród mieszkańców wywołało to dzieło, wskutek czego narosło niesłychanie wiele słownych utarzek, społeczność dzieląc na tych, którym skrzydła niezmierznie się podobały oraz tych, którzy za szkaradztwo je uważali. Niemniej jednak od tamtego czasu kamienicę wszyscy zaczęli nazywać Skrzydlakiem, co na lata całe do niej przylgnęło.

Skrzydłak na szczyty powodzenia wspiął się pod koniec lat trzydziestych. Przeobraził się w swego rodzaju serce działalności kulturalnej miasta. Przebywanie w nim stało się modne i wręcz pożądane przez śmietankę towarzyską, nie mówiąc o politykach. Z każdym dniem chętnych do odwiedzin, a i nawet do osiedlania się przybywało. Można by rzec, że prestiż tego miejsca rósł w tempie aż nadto imponującym.

Pan Jerzy, któremu już wtedy wybaczone wszelkie bluźnierstwa, tłumacząc je ekstrawagancją i oryginalnością, niezwy-

kle dumny z niebagatelnych osiągnięć, ustawicznie był teraz nakłaniany do inwestycji w kolejny dom, w kolejną podobną rezydencję. Stale jednak odmawiał, tłumacząc pochlebcom, że jest wyłącznie jeden Skrzydlak Wolańskiego i innych nie będzie, ani tu, ani w Krakowie, Warszawie czy w samym Wiedniu. A on nie ulegnie żadnym namowom, bodajby go angielski król we własnej osobie na kolanach błagał, dlatego nie ma o czym gadać i historia zamknięta.

Tak też to życie toczyło się od wystawy do wystawy, a wiadomo wszem i wobec, że to, co najlepsze, trwać wiecznie nie może, więc nadeszło lato trzydziestego dziewiątego roku, kiedy wszystko miało się zmienić. Pan Jerzy, wcześniej niemal co dzień obecny, prawie w ogóle zaniechał zaglądania do Skrzydlaka, domowników zaś niespotykana jak dotąd senność i udręka zaczęła dotykać. Inwencja twórcza zupełnie opuściła artystów, atmosfera zaś przemieniła się, stała się pełna obaw i strachu, jakby coś zawisło w powietrzu tuż nad głowami, jakby niepostrzeżenie dusza kamienicy przygasła gdzieś w kącie, czając się do ucieczki.

Gdy Niemcy weszli do miasta, została ledwie garść lokatorów. Reszta w popłochu czmychnęła, wyczuwając katastrofę – najczęściej za granicę, by bezpieczniej przeczekać w jakim cichym kącie, przycupnąć z dala od zgiełku, nasłuchując, co z tego wyjdzie.

Szczęśliwie na przestrzeni całej okupacji Skrzydlak nie doznał zbytniego uszczerbku, wciąż świetnie się prezentując. Mimo iż w bliskiej odległości znajdowały się parokrotnie bombardowane zakłady hutnicze i zdarzyło się również sporo powstańczych zamachów, to wyłącznie kilka draśnięć i śladów po kulach pojawiło się na fasadzie budynku.

Aż nadszedł długo oczekiwany moment tak zwanego wyzwolenia, czyli dni, kiedy wkroczyła ruska hołota. Sowieckie czołgi waliły do hitlerowców, a kule ze świstem przelatowały po Teatralnej i każdy mieszkaniec miasta modlił się, żeby jego ominęły, jednocześnie mocno się zastanawiając, czy aby dobrze

zrobił, nie ruszając się z miejsca. Fortuna jednak i tym razem sprzyjała artystom i Skrzydlak niemal nietknięty przetrwał wojnę. Za to jego ranga zdecydowanie spadła. A z powodu notorycznego i całkowicie wówczas powszechnego u obywateli braku dachu nad głową zaadaptowano go na budynek mieszkalny.

Lokatorzy zmieniali się jak rękawiczki, rok po roku ktoś nowy się wprowadzał. Pod koniec lat pięćdziesiątych osobistą decyzją samego pierwszego sekretarza wojewódzkiego komitetu partii zadecydowano o kapitalnym remoncie kamienicy. Nie wiadomo, czy przez nieuwagę i opieszałość urzędników, czy też z przyczyn politycznych olbrzymie skrzydła, wykonane przez malarza Orła, przykryto warstwą tynku, co, jak to bywa, niektórzy przyjęli z radością, inni zaś potraktowali jako kolejny smutny przejaw pożegnania się ze starymi dobrymi czasami.

Tak mijały dekady, zabierając za sobą całe pokolenia, aż wreszcie upadła komuna, po ruskich śladu nie zostawiając żadnego, co dopiero mówić o Żydach, których tak wielu współtworzyło to miejsce, zresztą niezwykle obecnie zmienione przez transformację ustrojową. Kiedyś tętniąca życiem centralna dzielnica kwitnącego miasta przeobraziła się w swoistą chimerę. Teraz nieodłączny element krajobrazu stanowili pijacy i bandyci, litrami płynął najgorszy destylat. Pojawiły się też inne, niegdyś nieznane używki. Normalny człowiek bał się po zmroku nawet tędy przechodzić, choć i za dnia niejeden miał strach w oczach. Tylko garstka porządnych ludzi uchowała się w okolicy, dziwną siłą mocno przywiązana do tego kawałka ziemi. Niewielu również nazywało jeszcze Skrzydlaka po imieniu. W samym zaś budynku zamieszkiwały zaledwie trzy rodziny, za przodków mające artystów z tamtej przedwojennej cyganerii.

Jedną z nich było małżeństwo Kwiatków. Hubert Kwiatek był potomkiem niejakiego Edmunda, który w Skrzydlaku pojawił się jako jeden z pierwszych, wprowadzony w pamiętniej

dziesiątce wybrańców. W czasie okupacji Edmunda nieszczęśliwie aresztowano i zamordowano w Oświęcimiu. Tworzył on podobno znakomitą poezję, jednak sprzeciwiał się temu, by ją gdziekolwiek zapisywać. Dla niego najbardziej istotna była sama deklamacja, improwizacja ustna. W rezultacie piękne sonety całkiem odeszły w zapomnienie.

Druga familia to Orłowie. To właśnie ich dziad słynne skrzydła naniósł na ściany, choć potem, zgryzotami jakimiś poruszony głęboko, wiecznie przygnieciony depresją, powiesił się na strychowej belce.

Ostatni, pan Stein, niedawno dopiero się wprowadził, przodek jego natomiast był swego czasu jednym z najlepszych w Polsce pianistów jazzowych. Dożył on późnej starości w kamienicy, niestety w samotności, opuszczony przez wszystkich ze względu na olbrzymią słabość do alkoholu oraz cechy charakteru niepozwalające na zgodne współlistnienie z innymi.

Jedynie ta trójka przetrwała, dźwigając na sobie archiwum przeszłości. I bez niej, ale oczywiście nie wyłącznie, to, co składa się na niniejszą opowieść, nie mogłoby się wydarzyć.

DZIECIĄTKO

*dzieciątko zasnęło w żłóbku
płakało długo darto japę zsikało się pod siebie zrobiło kupę
to wina dzieciątka
nie dają z nim rady
jestem za młoda chciałabym jeszcze trochę pożyć
wyjść gdzieś spotkać się
żeby się za mną obejrzał popatrzył w cycki zamiast w oczy
gdy wracam do domu ciemną nocą*

1. Mieszkanie nr 7. Kwiatek.

Andželika, Anna, Hubert, Roksana, Kacper

Dźwięk przekręcanego w zamku klucza. Ciche kroki w przedpokoju, jakby się skradała. Pewnie myśli, że śpimy. Nie mam do niej siły. Jeszcze z brzuchem przyjdzie. Ale nikt nie słucha, nikt się nie przejmuje, grochem o ścianę. Przecież ona ma dopiero siedemnaście lat! Głupia siksa!

– Hola!!! O której to się wraca?!

– Wyluzuj, mamuś! Wcale nie jest tak późno!

– Jak ona się odzywa? A ty nic! Zwróciłbyś uwagę!

– Andželika! Grzeczniej! Zachowuj się, dziecko! Jakoś, ale się zachowuj!

– Nie tak szybko! Chodź tu! Chuchnij!

– Ale mamu!

– Nie alemamuj mi tu! Bliżej! –No! Masz szczęście!

– Wiem. Jak byłam w twoim wieku i tak daleko, znam to na pamięć, daj spokój, milion razy słyszałam.

– Hubert! Weźże coś powiedz, bo za chwilę normalnie wyjdę z siebie i stanę obok!

Oczywiście olewka! Ten też nic! Tylko leżeć i gapić się w telewizor. A ja w kółko latam jak z oparzoną tyłkiem – pranie, obiad, zakupy, kolacja, zmywanie i ani jednego dobrego słowa. Małe dziękuję by wystarczyło, ale po co? Zasłużyłam?

Już się zamknęła, pewnie gapi się w tę swoją komórkę, jak zwykle. A lekcje na bank nieodrobione, mogę się założyć. Za co mnie taki los spotkał? Co takiego zrobiłam?

– Opuść jej, Ania. Też kiedyś byliśmy młodzi.

– No właśnie! Zapomniałaś już, jak to jest?! Ledwo ciebie z bagna wyciągnęłam, z nią nie mam zamiaru tego przechodzić. Chcę spokoju! Ma siedzieć w domu i się uczyć, a nie szlajać po nocach. Nie wiadomo, z kim, nie wiadomo, gdzie!

– Oj, Anka. Późno już. Kładź się wreszcie.

Dłużej nie wytrzymam. Jeszcze ta kamienica! Rudera! Zapieprzam od rana do wieczora, a i tak ciągle brakuje.

Obiecałeś, Hub, przyrzekałeś, że rok, góra dwa i się wyniesiemy, a to już prawie pięć lat. Odłożymy, na wpłatę własną, na remont. Gówno prawda! Gnuśniejemy, gnijemy jak stare kartofle w piwnicy. Czasem gdy pomyślę, że mam tu wracać, to ściska mi się żołądek, rzygam tym miejscem. Cóż z tego, że wspólny kąt, że nasz początek, dzieci. Dałabym wszystko, żeby stąd uciec, przysięgam.

Co to? Jezu, malutka znowu krzyczy. Oczywiście nikt nawet palcem nie ruszy.

– No już, już, nie płakunij, Roksanko.

– Hub! Przesuń się kawałek.

Co za mina?! Cudzego bachora do łóżka przyniosłam?! Docię, człowieku, że nie musisz po nocach butelki szykować! Docię, że nie musisz wstawać! Ale nie! Aniu! Dziecko ma swoje łóżeczko i tam powinno leżeć, nie z nami.

Tylko nie gryź, Roksana! Mamusia już jest taka zmęczona. Jutro do pracy, do tego cały dzień, ósma osiemnasta, większość na kasie, ale przynajmniej niedziela, trochę mniej ludzi, nie ma co narzekać.

Hub załatwił. Gdyby nie on, nie mam pojęcia, co by było, jakbyśmy sobie poradzili, trójka dzieci na karku. Boże!!! Wciąż mi się myli! Dwójka dzieci. Już dwójka!!! Właściwie zawsze dwójka.

Swoje wypłakałam. Ile to litrów łez wypłynęło?! I po co?! To nic nie dało. Ukochany synuś! Dlaczego on?! Czemu akurat on?! Andżi miała jedenaście lat, jak zaszłam. Brałam tabletki, bo Hub stękał, że nie teraz, że najpierw mieszkanie w blokach, dopiero będziemy się zastanawiać. I stało się. Lekarz powiedział, że pewnie zapomniałam wziąć, ale naprawdę nie zapomniałam, pilnowałam się, jak w tym filmie, weź pigułkę, weź pigułkę, więc brałam. Zbadał i stwierdził, że jeszcze wcześniej i jak chcemy to można się umówić pry-

watnie i coś pomyślimy, można usunąć. Razem zdecydowaliśmy, że jak już jest, niech jest, cieszyć się trzeba. Gdybym wiedziała, co będzie, możliwe że postąpiłabym inaczej, ale po co gdybać. Urodził się synek, śliczny, duży, z czarnymi kręconymi włoskami, nie blondas jak starsza siostra. Daliśmy mu Kacper. Wszyscy się cieszyli, szczególnie że taki był słodki, wcale nie dokuczył, nie darł się, stale uśmiechnięty. A jaki mądry, mówić się szybko nauczył, na nocniczek siusiu i kupkę. Siedział w kącie i cały czas klocki układał. Nie było dziecka. Dosłownie wszystko w domu mogłam wyszykować. Do tego sprzątać próbował pomagać, do obiadu widelce zanosił, swój talerzyk plastikowy.

Pamiętam jak dziś. Za dwa tygodnie miał mieć drugie urodziny. Obudził się w nocy:

– Ześkałem sie mama na pociel.

– Co?!!! – krzyknęłam na niego.

Nie powinnam, tak bardzo żałuję tego krzyku, ale już nie cofnę. Chciałabym mu powiedzieć coś innego, że to nieważne, nic takiego, że go kocham, że jest najcudowniejszy na świecie.

Sterczał z boku, wystraszony, a ja sprzątałam łóżko. Kątem oka zauważyłam, że się trzęsie, chyba z zimna. Nie odzywałam się specjalnie. Niech się nauczy smarkacz, przecież już ze trzy miesiące, jak się ostatni raz zmoczył.

– Boli mama – wystękał z trudem.

I się przewrócił. I już nie wstał. Nigdy. Wrzeszczałam jak głupia. Nie potrafiłam przestać. Oby to był sen.

– Oddychaj, chłopczyku. Obudź się.

Hub i Andzi obok. Reanimacja, usta usta. Telefon. Pogotowie. Zauważyłam, że zrobił też kupę. Moje ręce w jego kupie. Ten smród. Kacperek najukochańszy zimniejszy od kupy. Trzymam go mocno. Muszą mi wyłamać ręce. Już jesteś niepodobny do siebie. Już cię nie ma.

– Nie żyje. – Wyrok!

Później jakiś lekarz z papierami w ręku, z miną jakby czytał wiadomości sportowe:

- To był tętniak mózgu, proszę pani. Nie dało się pomóc. Przykro mi... Nie cierpiał... Nie zdążył...

- Gównu mnie to obchodzi!!! Słyszysz? Chcę Kacperka!!!
Mojego dobrego duszka.

Łykałam lekarstwa, a wydalałam kłótnie.

- Masz jeszcze córkę - kłapali.

Znowu lekarstwa, cmentarz, lekarstwa, cmentarz, tak bez przerwy. Wreszcie szpital. Niemal się rozstaliśmy, niemal ode-
szłam, było blisko. Niedługo miną cztery lata.

- Wróć, mamusiu - powiedziała Andzi, jak przyszli w od-
wiedziny.

Więc wróciłam. Opiekowali się mną, pomagali.

Udawałam, że nie płaczę. Tylko czasem, kiedy zasypiałam, wypływało parę łez, tak jak dzisiaj.

- Już dobrze, Aniu. - To Hub, mój mąż, wyłowił łkanie.

Nie! Już nigdy nie będzie dobrze, nawet jeśli będzie dobrze.
Rozumiesz? Nic nie rozumiesz. Nikt nie rozumie.

Wycieram się o jego piżamę. Czuję, że zasnął. Jemu wy-
starczy kilka minut. Ja potrafię się męczyć godzinami. To tak
naprawdę cudowny facet. Też cały dzień w pracy. Do tego
nieźle zarabia. Odkąd awansował na kierownika, rzeczywiście
jest nam łatwiej.

Patrzę na miejsca po zabawkach Kacperka, po łóeczku
Kacperka, po ciuszkach. Wszystko zabrali. Nie byłam w sta-
nie zabronić. W kółko mi się przypomina. Ale dlaczego je-
dynie te złe momenty? Jak mu dałam klapsa, bo pomalował
segment mazakiem. Jak płakał w tesco o wóz strażacki, a ja
miałam pieniądze, ale mu nie kupiłam. Jak byłam wściekła,
bo pobiegł za piłką i prawie się wpakował pod autobus. Jak
o mało co nie utonął, wtedy jak poleciał za Hubem na gli-
niankę i wpadł do wody. Jak zrzucił garnek z kaszą z kuchenki
i się poparzył, ale mówił: troske mama, nie boli, nie gniewaj
się. A ja się pogniewałam, autentycznie byłam wściekła i nie
odzywałam się do niego. Stał taki skwaszony, pewnie liczył, że

go wezmę na rączki i uściskam, pewnie bał się, żebym nie wybuchła, żeby nie było gorzej. Wciąż jeszcze brzmi w uszach jego ciche przeprasam, i moje: co mi dziecko po twoim przeprasam, krzywdę mogłeś sobie zrobić. Czemu pamiętam wyłącznie takie historie? Nie wiem, nie nadążam. Nie zgadzam się.

Zaśnij, Ania! Musisz być wypoczęta. Musisz wytrzymać całą dniówkę z tym nowym kierownikiem. Z tym gówniarzem, przydupasem dyrektora, co nawet się dobrze nie potrafi wyśłowić. Gadają, że wcześniej hot dogi przy dworcu sprzedawał, a teraz wielki boss – tak każe do siebie mówić.

– Cześć boss, słuchaj boss.

A co za język?

– Szybciej, Anka!

I na ucho:

– Zapierdalaj! Co tak wolno!

– Boss? Chciałam iść do toalety.

– Kołek se wystrugaj! Nie ma łożenia na fajkę! Przerwa za godzinę, wytrzymasz.

Parę razy człowiek usłyszy coś takiego i już o nic nie pyta. Przemorduję się, dam radę. Biorę te najbardziej nie lubiane terminy, weekendy, święta, nocki jak akurat są, kombinuję z planem Andzi i Huba, żeby ktoś został z małą. I jakoś wychodzi. Byleby się nie płaszczyć przed gnojkiem. Można albo tak, albo na słodką kurewkę. Są tu takie:

– Boss, na kawę, na sekundę da radę?

– A skoczysz potem do mnie do biura na pięć minutek?

Śmichychichy, ręce na biodrach, zagłądanie za dekolty, kręcenie pupką na odchodne, a ten się gapi, lalusz jeden, z głową przekrzywioną, jakby zamarzył na chwilę, a ślina mu kapie, oblesiovi, na podłogę.

Nie mogę kurwa na to patrzeć! Nie mogę! Ale co zrobić?! Masz zamiar się wyprowadzić?! Trzeba zacisnąć zęby. Tysiąc dziewięćset złotych na ulicy nie znajdziesz. Tak, racja, Hub wyciągnie porządną pensję, ale kasy i tak zawsze mało. W do-

datku jest Roksana. Samo jakoś wyszło. Nie sypialiśmy ze sobą prawie dwa lata, nie byłam w stanie się przemóc. Bałam się. Poza tym nie chciałam ze względu na Kacperka. Nie wolno mi się z nikim kochać, nie wolno się śmiać, być szczęśliwą, gdy tego już nie ma. To nie w porządku.

Ale kiedyś, na wigilię, odpuściłam. Nawet udawałam, że mi dobrze, zgodziłam się, żeby całował. Później drugi raz na święta, i poszło.

Nie zabezpieczał się, pewnie wierzył, że dziecko mnie uzdrowi, ja chyba też trochę wierzyłam. I naprawdę ucieszyłam się, że jestem w ciąży. Myślałam, że Kacperek się odrodzi, zaczęłam czytać te brednie o reinkarnacji i byłam przekonana, że to będzie on, chociaż powiedzieli, że na dziewięćdziesiąt procent córka.

– No to co z tego? Przecież Kacperek może być córką.

W końcu się urodziła. Zupełnie, kurwa mać, inna! Całkiem mnie to załamało. Stwierdzili, że to *baby blues*, depresja poporodowa.

– A spierdalajcie, skurwysyny!!! Wszystko wiecie, wszystko potraficie wytłumaczyć. A co jeśli nie mam ochoty tego ogarniać? Co jeśli wolę nic nie rozumieć, nic nie pamiętać, nie mieć żadnych obowiązków, uciec od was i zostawić to w pizdu!

Tylko że wtedy Roksanka, która jeszcze nie była Roksanką, która nie miała jeszcze imienia, uśmiechnęła się tak słodko, jakby mówiła:

– Daj cycusia, mamusiu.

I znowu się zmieniło.

Teraz leżymy we trójkę, a Andzi w drugim pokoju, słyszę, jak gada przez telefon. Boże, w środku nocy! Hub chrapie, mała się wierci. I to pukanie w szybę. Znam je, odkąd się tu wprowadziliśmy. Odkąd umarła babcia Huba.

– Nie przejmuj się. Nikt nie ma pojęcia, co tak stuka. Podobno tak tu jest od zawsze.

Więc staram się nie przejmować i po chwili zasypiam jak dziecko.

2. Mieszkanie nr 8. Orzeł Maciek, ziomki, droga, rodzice, modlitwa

- Te, Orzeł! Co dostaniesz na osiemnastkę?
- Nie twój zakichany interes.
- A kiedy bibka? Chyba coś postawisz kolegom? Jak Rafka robił to trzy dni żeśmy, kurwa, do tyłu chodzili. Pamiętacie?
- Siano we łbie zamiast mózgów. Najebać się albo naćpać, nic więcej.
- Oj nieładnie, Maciuś! Nie mów, że przysiępisz, bo nie uwierzę.
- Już nie wkręcaj, nie wkręcaj.

Przybijamy piątki i lecę do domu. Zaslubiłem na godzinke odpoczynku. Dzisiaj na siłce trzy rekordy, sto cztery na klatę, naprawdę szacun. Szkoda, że nie mam czasu, bo pewnie zaglądałbym częściej, zwyczajnie uwielbiam się katować.

Zrzuciłem zapocone ciuchy, teraz słuchawki, muzyka *full* i na chatę. Ziomki wiadomo, już ustawieni, ławeczka, browar, ziolo, co je Zenek z Holandii przywiózł. Ale to nie dla mnie. Czysty umysł. *Free your mind*, koleś. Zostanę trzeźwy, zdrowy, silny, przepełniony miłością do Boga i do tego pięknego kraju. Ciągłe gotowy, by pomóc, żeby podać komuś rękę w potrzebie. *Memory, play* i ruszam w miasto przy starym hip hople, moje ulubione rytmy: ...*miejsce Polska, system samowolka, cel to forsa, w tym tkwi sekret, biorę co los da, życie made in Polska, to jest moje miejsce, bo kocham to miejsce...* – szeptem, pod nosem, z głową podniesioną, przesiąknięty wiarą i dumą, jak na skrzydłach, co je pradziadek wszędzie malował, przez prawdopodobnie najgorszą dzielnicę tego miasta, samo dno.

Tylko że z perspektywy samego dna człowiek wygląda zupełnie inaczej, nabiera wyraźniejszych barw. Jest apokaliptycznie czarny lub przejrzyście biały. Od pierwszego spojrzenia widać albo jego dobre serce, albo skażoną duszyczkę. Sunę

uliczkami bez strachu, patrząc każdemu prosto w oczy. Na porządnym ludzi z uśmiechem i z głośnym witam cześć siema, na brud krytycznie, żeby się nie czuł zbyt pewnie, żeby wiedział, że nie jest u siebie i nie panoszył się za bardzo. Idę powoli, zwiedzam swoją małą ojczyznę, badam, czy wszystko gra, czy układa się jak powinno.

Zachód słońca, granatowe sobotnie niebo. Niedługo na miasto wypłyną męty. Wampiry walące czosnkiem, wódą, perfumami adidasa, uderzą chwiejnym krokiem do śmierdzących fajkami pubów, do dyskotek pełnych głupich cip, a ci biedniejsi pochowają się w bramach przed psami, łojąc tanie wina przepalone jakimś szmelcem. W tym czasie będę czytał książkę. Słyszycie, debile?! Książkę! Na początek Różewicz albo lepiej Zagajewski, potem kolacja i o dziesiątej w łóżku. Wstanę koło szóstej, na śniadanie jajeczko, szczypiorek, kukurydza, kawa zbożowa, sok pomarańczowy, banan. Później do kościoła na siódmą. Świeży i wypoczęty będę służył do mszy. Tak wolę. Pomodłę się za was.

– Hejka Orzeł. Co to, z oazy wracasz? Tak wcześnie?

– No nie powiem, niezły żart. A panienka Andżelika to ma się rozumieć grzeszyć wyrusza. O tej porze na miasto? Mamusia puściła?

– Ustawiłam się z laskami do Transu, tak poskakać, zajebisty didżej zapodaje. Może byś kiedyś dołączył? Co?

– Ja i techno! Widzisz mnie tam? Pa. Bądź grzeczna.

Taka fajna dziewczyna, a taka pogubiona. Krótkie blond włoski, szczupła, zgrabna, fajne cycuszki i pupka. No i przede wszystkim niegłupia. W niej to mógłbym się zakochać! I produkować w kółko małych Orlów, jak na katolika przystało.

Puszczam wodze fantazji, my razem, przed snem nastrojowe kameralne dźwięki, orkiestra zwalnia rytm, wycisza. Pachnąca kołdra i naturalnie prokreacja, później spanko, od rana hip hop, prokreacja, szkoła, praca, w niedzielę kościół i spacer z wózkiem do parku albo do lasu pod miastem, nie jak ci

idioci do hipermarketu, wieczorem prokreacja pod prysznicem, potem drugi raz na śpiocha w wyrku. To by było życie.

Przebiegam przez pasy, zza rogu wyłania się moja kamienica.

– Dobry wieczór, panie profesorze.

Marcin Stein. Sąsiad, a przy okazji były nauczyciel muzyki z podstawówki. Ciężko przechodzi przez gardło to dobry wieczór do starego siwego prosiaka. Już samo nazwisko – Stein, zajężdża mośkiem na kilometr. Albo niemieckim lewakiem. Najchętniej bym splunął pod nogi, ale nie ma co, odpuszczam. Kultura i autodyscyplina, Maciusiu! Nie dasz się sprowokować!

Z drugiej strony to hipis, więc na bank kopci, na stówę nasrane w bani od tych ich ziółek, poprzestawiane półeczki pod sufitem. Przecież za darmo faceta nie wywalili ze szkoły. Matka mówi, że się zwolnił, bo nie dawał rady. Matka to we wszystko wierzy, tej to każdy kit wciśnie. Według mnie coś przeszkrobał i odszedł.

Jezu! W co on jest ubrany? Koszula, kurwa, w choinki! Do tego dzwony i sandały, a w sandałach skarpety! No chyba wałęną na plery!!! Zdaję sobie sprawę, że nie wolno się śmiać z czyjegoś ubioru, liczy się wnętrze, ale... Przegięcie, Stein, przegięcie!

Pamiętam te jego lekcje. Nowoczesne metody nauczania, nieszablonowe podejście do dydaktyki, współtworzenie zajęć z uczniami. Jeszcze jak była klasyka, Beethoven, Chopin, Liszt – dawałem radę. Jeszcze zniósłem jazz, czarnuchów i innych tego typu popaprańców. Ale jak dowalił muzę współczesną, te całe woodstocki, jarociny, to normalnie się zagotowałem.

No bez przesady, chłopie! Nie powinienes wciskać innym na siłę swojego zdegenerowanego podejścia do świata. Oczywiście nie zareagowałem, ani słowa, gówniarz był wtedy ze mnie, a poza tym piąteczka z muzy na świadectwie musi być, nie ma lipy. Dzisiaj to bym pewnie nie wytrzymał, od razu bym coś chlapanął.

Za pana też się pomodłę, panie Stein.

– To ty, Maciuś?

- Tak, mamuś!

- Bigos masz w lodówce. Odgrzej sobie, synku.

Znak krzyża nad chlebem, tradycyjne polskie żarcie, nie żadne skośnookie świństwo bez smaku, nie żaden koszerny szmelc.

Odpałam gaz, podchodzi matka, przytula się z tyłu. Czuję papierosy. Jedynie w przypadku rodziców jest to miły zapach. Kojarzy mi się z dzieciństwem, z tym, jak skradałem się w nocy do nich do łóżka, gdy ojciec wracał z tyry. Fajki wymieszane z kwaśnym zmęczonym potem.

- Idź do pokoju. Sam tam leży, nie ma z kim pogadać.

- Dobra.

Zaskrzypiały drzwi. Na ławie szklanka z niedopitą lurowatą herbatą w starym peerelowskim drucianym koszyczku, popielniczka pełna kiepów i paczka tytoniu Red and White. Tatusz leży na boku, przykryty kołdrą.

- Cześć. Co tam dzisiaj?

- Nic. Plecy bolą jak cholera.

Ojciec jest na rencie na kręgosłup. Miał wypadek w robocie, spadł z wysokości na budowie. Oczywiście wszystko na czarno, więc zero odszkodowania. I tak cud, że mu rentę dali, jebani złodzieje. Teraz gnije w koju jak jakiś niepełnosprawny, przez to, że ktoś chciał zaoszczędzić na rusztowaniach. Skurwysyny umyli ręce. Jakbym dorwał jednego z drugim...

Od tej pory tata w kółko ogląda telewizję, od rana do wieczora: filmy, seriale, teleturnieje. Wychodzi wyłącznie do lekarza i na rehabilitacje, po których parę dni nie może się nawet ruszyć.

- Wiesz, Maciek. Taki ciekawy dokument wczoraj obejrzałem na discovery, i tam powiedzieli, że trzecia wojna światowa to już była, że ruskie wkroczyli do Polski w siedemdziesiątym siódmym, normalnie czołgi, katusze, największy front pod Lipskiem, a komuchy nikomu farby nie puścili, ani słowa w dzienniku...

Potrafi tak męczyć godzinami, a ja po pięciu minutach łapię się na tym, że go wcale nie słucham, tylko przytakuje:

- Mów dalej, tato.

Naprawdę bardzo kocham swoich staruszków, ale czasem mam wrażenie, że jestem adoptowany, ewentualnie ktoś mnie podrzucił, zostawił pod drzwiami, albo przy moich narodzinach Bóg postanowił stworzyć kogoś całkiem innego, zupełnie niepodobnego. Niezbadane Jego wyroki.

- ... i wtedy, synuś, Gorbaczow już musiał się zgodzić, bo Chińczyki pokumali się z Japończykami i planowali Sowietów na pół rozebrać, że część dla czerwonych, te całe Syberie, Mongoły i Kaukazy, a część dla Amerykańców, Polacy, Czesi, Rumuny, Ukraince, Moskwa...

- To historia alternatywna, tatuś. To takie co by było gdyby. Mydlenie oczu, nie przejmuj się, nie warto.

- No właśnie, Maciuś. Ja też tak myślę. Mydlenie oczu...

- Idę się położyć. Poczytam trochę. Dobranoc.

Budzi mnie spadająca z łóżka książka. Zasnąłem przy poezji. Wchodzę do sypialni rodziców i gaszę telewizor. Myję zęby i wracam do swojego pokoju.

Najważniejszy moment dnia: wieczorny pacierz. Dawniej robiłem to mechanicznie, Zdrowaś Mario, Ojcze Nasz, Aniele Boży i lulu. Od jakiegoś czasu jest inaczej. Właściwie zaczęło się od snów. Od snów, w których spotykam się z Jezusem. Nigdy nikomu nie mówiłem. Kiedyś próbowałem się z tego wypowiadać, ale utknąłem w pół słowa.

Od dziecka jestem lunatykiem. Starzy opowiadali mi wiele razy o tym, jak śpiąc wszedłem do szafy, jak uciekałem z domu, jak kładłem się do wanny, jak krzyczałem i przeklinałem. Nad ranem po siedemnastych urodzinach otworzyłem okno i chciałem przez nie wyskoczyć. Od tamtego dnia modlę się nieprzerwanie, żeby Najwyższy zdjął piętno lunatyzmu. W snach doznaję Boga. Prawdziwego, realnego Chrystusa. Nie rozmawiamy. Siedzimy razem na szczycie doskonale zielonej góry, jakby na poddaszu świata, z jednej strony gorące słońce, z drugiej gwiazdy i księżyc. Wydaje mi

się, że On zawołał mnie do siebie. Że krok po kroku staję się narzędziem Woli Pana.

Dokładnie dwa tygodnie temu napisał do mnie wiadomość z *bog@bog.pl*. Wahałem się parę dni. Jakaś głupota! Bóg nie może mieć adresu internetowego. To idiotyczne!

Wreszcie się złamałem. Usiadłem przed komputerem, kilka zwykłych słów, test łączności, kilka ziarenek różańca. Odpisał – „Amen”. Uśmiechnąłem się. Taki był początek.

Czas na dzisiejszą litanię. Stukot klawiatury, wolno pojawiające się litery, później samo płynie, głęboko z serca.

Orzel1944: Nie muszę się przedstawiać, bo przecież wiesz wszystko. Dlatego zwracam się z prośbą, abys choć trochę ulżył każdemu cierpiącemu, a zwłaszcza w moim kraju, mieście i kamienicy, bo sercem mi do nich najbliżej. Przepraszam za miniony dzień, za to, że zgrzeszyłem pogardą dla słabych i bezbożnych, którzy od Ciebie się odsunęli, którzy twierdzą, że nie istniejesz. Błagam o litość dla zdrajców, co śmiać krzyczeć, że Ciebie nie ma, dla nich w pierwszej kolejności. Żeby przejrzel na oczy, bo ich szczęście nigdy nie będzie prawdziwe. O łaskę dla pijaków i ćpunów, prostytutek, alfonsów, złodziei, bezdomnych, maltretujących i maltretowanych, gwałcących, homoseksualistów, komunistów, ekologów, żydów, muzułmanów, hinduistów i buddystów, psychopatów i pedofili. Dla dziewczyn, które tej nocy puszcza się na dyskotecę i chłopaków, którzy je wykorzystają. Dla złych ludzi, bo nawet w najgorszym tkwi święta iskra, wystarczy ją uwolnić, a będziesz blisko. Dlatego najmocniej dla zepsutych, dla nich w szczególności. Zabierz ode mnie żądze nieczyste, pokusy wszelkie i chroń w niebezpieczeństwie. Czekam, kiedy znów przyjdiesz we śnie, by wskazać Drogę. W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

BOG: AMEN SYNU.

3. Mieszkanie nr 9. Stein

Marcin Stein, radio, Edzio, mucha, dziadzius

Włączam radio. Stary wysłużony jubilat z lat sześćdziesiątych. Uwielbiam to trzeszczenie, przyjemnie ochryple dźwięki przypominają dawne dobre czasy. Pokrętko popsuło się dawno temu, ale to wcale nie przeszkadza, nawet lepiej, bo zatrzymało się na stacji nadającej w kółko archiwalne powojenne polskie audycje.

Słucham o tym, jaka była pogoda tego samego dnia w pięćdziesiątym piątym roku, że w całym kraju pochmurno, słońce wyjrzy jedynie w okolicach Wrocławia, jaką mieścinę odwiedził pierwszy sekretarz, że lada dzień otworzą Stadion Dziesięciolecia, a Pałac Kultury i Nauki zostanie oddany do użytku już jesienią.

Siedzę w kuchni i palę skręta, równocześnie trąc ziemniaki na placki. Powoli i delikatnie, żeby znowu się nie skaleczyć.

Stop! Muszę natychmiast przerwać. Zaczęło się. Audycja z albumem: *Charlie Parker Quinted of the Year*.

Siadam na krześle, dostrajam gitarę i w mgnieniu oka gramy razem. Załatwiłem się mocno, bo w pewnym momencie robią mi miejsce na solówkę. Dookoła wyłącznie kolorowi, patrzą z aprobatą. Kiwiają głowami, szepcząc jeden do drugiego:

– Niezły ten białas.

Improwizacja trwa, bas i perkusja zwalniają tempo, żeby we właściwym fragmencie przyspieszyć, a ja unoszę głowę i umiętnie wracam do tematu.

Znamy się nie od dzisiaj, chłopa. Zachwycona publika klaszcze, powietrze aż wibruje od emocji. Krok do przodu wysuwa się Bird, rozpoczynając cudowny niepowtarzalny lot. Tego kawałka nie ma na żadnej płycie, powstał przed chwilą, tutaj. Współtworzę go, komponuję kolejne frazy, totalne szaleństwo. Bird daje z siebie wszystko, jest niepokonany, nie

mamy z nim szans. Słyszę jak Dizzy krzyczy coś pomiędzy dźwiękami, nie do końca rozumiem, co. Wreszcie odczytuję to coś z ruchu warg. *Listen to the Wings*. Posłuchaj skrzydeł. I niemal widzę unoszące się w tle skrzydła muzyki. Są gotowe do startu, rozkręcają się, bujają coraz mocniej, falują silniej z każdym ruchem, aż nie mogę się utrzymać na nogach. Raz szybuję metr nad sceną, raz zakopuję się głęboko pod nią. Ledwo wyrabiam. Dobrze, że pomału gaśniemy. Ostatnia nuta zrzuca mnie z krzesła.

Upadam w taki sposób, żeby nic się nie stało gitarze, mojemu wiernemu przyjacielowi Edziowi, który kilkadziesiąt lat temu był Fenderem Stratocasterem. Ale ktoś gdzieś kiedyś, z niewiadomych przyczyn, próbował zetrzeć napis z gryfu i zrobił to na tyle nieudolnie, że Fender zamieniło się w Ed. Stąd właśnie Edzio, towarzysz od szczeniaka, prezent od ojca na osiemnaste urodziny, powiernik tajemnic, unikalny, bezcenny. Włożyłem masę pracy, żeby brzmiał perfekcyjnie, żeby miał wyjątkowy charakter. Przekazałem mu część swojego serca. Nie poradziłbym sobie, gdyby nie daj Boże...

Ładując, zaczepiam stopą o kabel od radia i wyrywam go z kontaktu. Muzyka cichnie. Nie docierają już prośby o bis, a wyłącznie śmiech. Chichot załatwionego ćpuna, który przesadził z paleniem i tarza się na środku podłogi, spazmatycznie rechocząc. Brakło siły, by wstać, zresztą po co. Lepiej poleżeć.

W tym miejscu obowiązuje zupełnie inna optyka na kuchnię. Prawie erotyczna. Mam wrażenie całkowitej bezbronności. Czuję się jak pijana naga kobieta pod brutalnym kochankiem. A piekarnik, szafki i stół zastanawiają się, czy to aby odpowiednia chwila, żeby zaatakować. Czy potrafię się przed nimi obronić?

Nawet poruszają się delikatnie, sprawdzając, jak zareaguję. Udaję, że tego nie widzę, że nie zmieniacie kolorów i wcale nie szykujecie się na zerwanie ze mną ciuchów.

– Jezu, co za korba! Powinienem dawać więcej tytoniu!

Jeszcze się okaże, że obudzę się w łóżku z lodówką albo z fotelem, albo w łóżku z... łóżkiem.

Na razie powoli wracam z zaświatów. Ściany z powrotem stają się cytrynowożółte, pęknięcia na suficie już nie drgają, nie układają się w runiczne znaki, podpowiadające, kim byłem w poprzednim życiu i kiedy dopełni się karma.

Jedynie mucha fruwa bardzo głośno, aż pękają bębrenki, ale nie denerwuję się na nią, nikomu w niczym nie zawiniła. Kiedyś na pewno mordowała niewinnych, dlatego teraz jest muchą. W ciągłym ruchu, bezustannie w drodze, jak podróżujący pociągami towarowymi amerykańscy beatnicy. Dzisiaj zjawiła się w mojej kuchni. W mieszkaniu niemal czterdziestoletniego, siwiejącego, wychudzonego muzyka. Kawalera, ale nie samotnego. Którego wszyscy artyści w tym mieście znają i podziwiają, i który nic ci nie robi, nie masz się co martwić. Ja, Marcin Stein, syn Bronisława i Cecylii. Ja nie zabijam żywych istot. Trafił ci się buddysta, kochana.

No dobrze, już dobrze! Nie musisz tak walić w to okno. Już cię wypuszczam. Czyżbyś była insektem wojownikiem, pragnącym wyfrunąć na łono natury, by porwać do boju uciśnionych i ciemionych? Takim muszym Williamem Wallace'em? Braveheart w moich skromnych progach? Uniżony sługa wita cię w pokłonach. W czym mogę pomóc, o najjaśniejszy?

- FFRREEEEEEEEEEEDDOOOOOOOOOOM!!!!!!!!!!

- W porządku, rozumiem. Niestety, to chwilkę potrwa, gdyż twój tu oto padły na pysk poddany nie jest w stanie się podnieść z powodu niewielkiego przedawkowania marihuany, która wprowadziła w jego organizmie zaburzenia równowagi, a zresztą nie tylko równowagi. Zważywszy na to, że gadam z owadem, to wcale nie jest najintensywniej odczuwalna konsekwencja mojego jak zwykle nieodpowiedzialnego zachowania.

- FFRREEEEEEEEEEEDDOOOOOOOOOOM!!!!!!!!!!

Okej! Zbieram się! Już otwieram!

- I leć po morzach i oceanach, sław imię polskich konopi i niezwykle hardych i zaprawionych w walce palaczy. Przynosząc chwałę Rzeczypospolitej Polskiej. Nadaję ci imię sir William!

I wyfrunęło dzieciątko z gniazdką!

Boże! Jak mi się chce jeść. Dobrze, że mam to ciasto na placki. Zaraz, ale gdzie jest patelnia? A tutaj! Odszukaj w pamięci, upewnij się, Marcin, czy wszystko dałeś?

- Ziemniaki?

- Obecne.

- Cebula?

- Jestem.

- Jajko jest. Sól i pieprz też. Trochę mąki. No to jedziemy z tym koksem.

- Olej!!! Zapomniałeś o oleju, idioto! Znowu!!!

Muszę wyjść. Tylko jaki dzisiaj dzień? Sobota, bo jutro koncert na placu. Muszę wyjść, chociaż tego nie znoszę. Wolę tutaj, sam. Ale te placki! O której zamykają lidla? O szóstej, siódmej? Właściwie co za różnica? Po prostu idę. Wychodzę na klatkę. Na wszelki wypadek udaję, że zamykam drzwi na klucz, którego nie umiem znaleźć od paru miesięcy, być może nawet lat. No i kto niby miałby mnie okraść? Z czego? Z kilku wiekowych instrumentów? Ze zdezelowanego ruskiego telewizora, który i tak już niczego nie odbiera, bo trzeba by jakoś przestroić, kupić antenę. W sumie jest jeszcze nieużywane zabytkowe pianino. Ale spróbuj je wynieść.

- Pomóc panu?

Andżelika z naprzeciwka. Córka sąsiadów. W zasadzie gadam jedynie z nią, odkąd wprowadziłem się tutaj, do mieszkania pradiadka. To podobno właśnie po nim odziedziczyłem talent. Szymon Stein, legendarny wirtuoz fortepianu. Tak, jestem prawnukiem tego Szymona Steina. Ekscentryka, odludka, genialnego kompozytora, dla którego nie było świętości i autorytetów, który każdego potrafił zmieszać z błotem i który zerwał kontakt z najbliższymi tuż po narodzinach swojego

syna, a mojego dziadka. A na stare lata zaszył się w tym miejscu, prawie w ogóle z niego nie wychodząc. Jednocześnie aż do śmierci zachował całkowitą trzeźwość umysłu. I on to, nie wiedzieć czemu, za jedyną przyjaciółkę wybrał dziewczynkę o imieniu Andżelika. Wyłącznie jej pozwalał się odwiedzać. Robiła zakupy, wyrzucała śmieci. Po szkole przychodziła prosto do niego i czekała tam, aż mama wróci z pracy. Opowiadała, że uwielbiał, jak czytała mu książki. Najbardziej lubił klasyków: Dostojewskiego, Manna, Conrada, Hemingwaya. Sympatyczny, wiecznie uśmiechnięty, taki dobrotliwy dziadziuś – to jej słowa.

Na początku nie mogłem uwierzyć, że mówimy o tym samym człowieku. O bestii, największym wrogu całej mojej rodziny. Wyobrażałem go sobie jako Hannibala Lectera ze zdewastowanej kamienicy przy Teatralnej, który bez wątpienia trzyma ludzkie narządy w słoikach z formaliną w lodówce, a w zamrażalniku odcięte uszy niewiadomego pochodzenia.

I jak się okazuje, ten potwór nad potwory wręcz nie był w stanie obejść się bez obecności smarkuli z sąsiedztwa. Ubóstwiał spędzać z nią czas, a w dodatku udzielał jej darmowych lekcji gry na pianinie, chociaż nie miała za grosz słuchu, co zresztą wcale go nie zniechęcało, wręcz przeciwnie, wyzwalało szeroki i szczery uśmiech.

Szymon Stein właśnie mnie zapisał w testamencie swoje mieszkanie. Dlaczego? Może dowiedział się, że również jestem muzykiem? Umarł w wieku dziewięćdziesięciu pięciu lat. Może po prostu na starość pomieszało mu się w głowie.

– Wszystko w porządku? Nic się panu nie stało? – Znowu Andżelika.

– Nic, tylko się zamyśliłem. A ty co? Gorączka sobotniej nocy? No, leć już.

Pobiegła. Ja kilka kroków za nią. Najszybciej, jak to możliwe. Ulica. Na szczęście w miarę pusto. Paru gówniarzy. O, tego chyba kojarzę.

– Dobry wieczór, panie profesorze.

Czyli uczeń. Jeden z tych rozwyrzonych bachorów z podstawówki dla półmózgów, w której kiedyś pracowałem. Jezu, jak się cieszę, że już tego nie muszę robić. Skusiłem się, bo stałe zatrudnienie, łatwa kasa. Okazało się, że ani łatwa, ani kasa.

Wpadam do lidla. Otwarte, super. Druga alejka, na końcu po lewej. Kujawski z pierwszego tłoczenia. Płacę i wracam. Tym razem po drodze nie spotykam nikogo.

Otwieram szafkę i próbuję wepchnąć do niej olej, ale nie wchodzi. To dlatego, że pełno w niej butelek oleju. Jedna wypadła i toczy się po podłodze.

4. Zmysły, perfumeria, perła, sen

– Mamusiu, przecież byłam grzeczna.

– Oczywiście, że byłaś grzeczna, córeczko.

– Mamusiu. Skoro byłam grzeczna, to dlaczego tu tkwimy. Czemu nie możemy wyjść. Mówiłaś, że jeśli będę zachowywać się jak należy, to wszystko się ułoży. A tak nie jest. Dla każdego byłam uprzejma, słuchałam z uwagą, nie płakałam, nie krzyczałam. To nic nie dało. Dalej tu marniejemy. Jak długo jeszcze, mamo?

– Nie martw się. Bądź cierpliwa. Tatusz wróci. Nie zostawi nas samych, kocha cię bezgranicznie. Zresztą wiesz o tym, po co ci to powtarzam?

– Ale jak? Oprócz tych, co nas zamknęli, nikt nie ma pojęcia, że tu utknęłyśmy. Nie powiedzą mu. Nie zdradzą się.

– Uwierz mi. Twój ojciec to uparty mężczyzna. Znajdź sposób. Tym akurat bym się nie przejmowała.

– Nie potrafię się ruszyć, mamo. Ani o milimetr. Cała obróciłam się w ból. Zdrętwiały mi palce u stóp i naprawdę bardzo pieką mnie oczy. Chyba przez nieprzerwaną ciemność. Mogłabyś coś zrobić, żeby było choć trochę jaśniej? Prawie wcale cię nie widzę. Wydaje mi się, że twoje piękne rude włosy zmieniły się w szare. Zapal światło, proszę, mamo.

– Nie umiem. Podobno człowiek w zupełnym mroku nie rozróżnia kolorów, dlatego nie jestem już ruda, tylko czarno-biała. Ale to nic. Znam sposób, aby rozwidnić to miejsce. Zajrzyj głęboko do środka siebie. Gdzieś niedaleko twojego kochanego serduszka mieszka ledwie wyczuwalny płomyk. Zwykle trudno go zauważyć, bo tli się słabą łuną, ale ty, tak samo jak ja, musisz mocno uważać, żeby cię nie oślepił. Spróbuj się tak ułożyć, żeby móc w niego zajrzeć. Dmuchnij, ale delikatnie, wtedy się rozzarzy i zabłyśnie pełnią barw i odcieni.

– Lubię, jak mówisz w ten sposób. Ale isierka ginie. Nie mam już siły na nią chuchać. Zmęczyłam się. Zimno mi. Nigdy nie było tak zimno jak dzisiaj. Uratuj mnie, mamó. Nie zniosę tego dłużej.

– Wytrzymaj. Przytuliłaś się, więc wykorzystaj okazję i zabierz moje ciepło. Już otworzyłam każdą furtkę, wystarczy chłonać. Tak, właśnie tak. Lepiej?

– Nie lepiej, mamó. Jestem głodna. Pomóż mi! Błagam!

– Przysuń się bliżej i ssij, córeczko. Jak kiedyś, spokojnie, powoli. Nie tak zachłannie.

– Już nic nie zostało. Za mało. Nie było smaczne, było gorzkie. To twoja pierś, twoje mleko. Paskudne. Chcę jeszcze. Chcę jeść. Natychmiast, inaczej zwariuję. Mamó?! Czemu się nie odzywasz?

– Pij, kruszynko. Postaraj się nie uronić ani kropli.

– Pyszne. Gorące. Cudowne. Co to jest, mamusiu? Mogłaś dać więcej? Mamó, czy to krew? Czy karmisz mnie swoją krwią? Czy powinnam? Nie, nie powinnam. Zabierz rękę. Albo... wstrzymaj się chwilę. Ostatni lyczek. Nie! Ostatni będzie po tym, po przedostatnim. Zabierz dłoń. Ja nie potrafię jej odepchnąć. Albo nie zabieraj.

– Koniec. Odpocznij, prześpij się trochę. Opowiem ci bajkę.

– Nie mam ochoty na bajki, wciąż bajki i bajki, zmyślane życie, fantazje, mary. Przypomnij mi rzeczywistość. Prawie wcale jej już nie pamiętam. Tylko nie przesadzaj, nie ubarwiaj, bo tego nie znoszę. Opisz świat, miejsca, za którymi tęsknisz najbardziej. Wskrześ ojca. Przywołaj jego echo. Ono przytłumi cierpienie.

– Najpierw nie lubiłam, jak przychodził. Wydawał się taki bezczelny, wyniosły. Rozkazywał innym, patrzył z góry, musieli słuchać, bez mrugnięcia okiem wykonywać polecenia. Często z nieciekawą swiutą przy boku. Jedni nadskakiwali, inni z papierami, weksłami, żeby parafować, podpisać. Koleżanki twierdziły, że najładniejszy kawaler w okolicy, każda bez wyjątku się w nim durzyła. Oczywiście, że przystojny. Męski,

szerokie ramiona, postawny, władczy chód, rysy symetryczne, wyostrzone, jakby wyrte w kamieniu. Do tego szafirowe, duże, niemal kobiece oczy i włosy czarne jak węgiel. Lecz miał w sobie również coś innego, niedostępnego, głęboko ukrytego. Coś, co wywoływało nienaturalne napięcie, gdy zbliżał się na parę kroków. Jak tuż przed rozwiązaniem zagadki kryminalnej w powieści. Taki szczególny punkt, w którym zatrzymujesz się, niecierpliwie czekając, co dalej, choć to dalej nie oznacza niczego dobrego. Na początku nie umiałam tego określić, ubrać w słowa, nie wiedziałam, co się dzieje, nie wiedziałam, z jakiego powodu. Byłam pewna jedynie tego, że to zło. Że to potęga nieczysta, a ja winnam się jej przeciwstawić. Z całej siły, całą duszą, wszystkim, co tkwi pod skórą.

Pracowałam u wuja w perfumerii. Doradzałam klientom kompozycje zapachowe: dla pani fiolek i tuberoza, dla siostry limonka z pomarańczą, a przy narzeczonym, na spotkaniu w teatrze, wanilia z nutą cynamonu. Często pojawiał się wtedy w drzwiach, pytając zuchwale:

– A co szanowna pani wybrałaby dla mnie? Czy jest jakaś woń, którą mógłbym uwieść piękną sklepikarkę?

Milczałam. Zastygałam jak skała. Aż nadszedł dzień, gdy nie wytrzymałam i wygrała we mnie buta, chęć oparcia się władzy. Wycedziłam mu w twarz, że dla niego idealny będzie narcyz i pokrzywa. Zaśmiał się. Poczułam, że tak jak innymi, mną również chce zawładnąć. Dlatego kazałam mu wyjść, pójść precz i nie wracać!

– Jest w tym mieście wiele perfumerii, a skoro musi pan koniecznie korzystać z tej, proszę przysłać służbę.

Przycichł nieco, uchylił się, złapał rąbek kapelusza, odwrócił się i wyszedł. A ja? Skamieniałam, zamiast wybiec, zamiast urągać, wrzeszczeć: „Dlaczego mnie tak dręczysz, łajdaku?!”. Stałam marząc, żeby czas się cofnął, żeby mogła mu zaproponować mieszkankę cedru i paczuli. Albo nie! Uderzyć go w policzek, roztrzaskać na głowie butlę z olejkami.

Tylko że nie mogłam tego zrobić, bo go już nie było. Jak to znieść? Jak zappełnić puste miejsce po obrzydzeniu? Wezbrało, zbyt wielkie, nie da się zalać łzami.

Żyłam nadzieją, że zmieni zdanie, że nie posłucha, że znów zadrwi albo zapomni i po prostu... przyjdzie.

Ale jego dalej nie było. Wypatrywałam jak głupia. Tydzień później zajął wyłącznie szofera, z karteczką, na której wypisane były nazwy perfum, a ja ganiałam z kąta w kąt, drżącymi rękami starając się przygotować zamówienie, a najchętniej pobiec na jego pałac i rzucić mu nimi w twarz, żeby się wypchał i zostawił w spokoju. Boże! Co robić?!

Przekazałam pudełko.

– To dla pani – powiedział szofer, oddając mi inne pudełko, przedziwnie kontrastowe, bo dla niego czarne, duże, dla mnie białe, małe, z kokardą na środku, zalakowane.

Posłałam więc oszołomiona na zaplecze i je otworzyłam. W środku znalazłam srebrny naszyjnik z białą perłą. Prześliczny. Niczego takiego wcześniej nie trzymałam w dłoniach. Oprócz tego karteczka, wiadomość spisana drobnym mackiem. Żebym założyła i spotkała się z nim na kolacji w Kulturalnej, przyśle samochód.

– Jak śmiesz?! Myślisz, że mnie kupisz? Nic z tego! Pójdę! Oczywiście, że pójdę!

Ale jedynie, by nawtykać, że drań, cham najgorszy i wykrzyzczyć wszelkie najgłębiej skrywane pretensje o to, jak mnie traktuje, jak bardzo skrzywdził. Doprowadza do szaleństwa.

Posłałam, córciu, siadłam, o krok, o centymetry. Ale nie mogłam wydobyć słowa, nie zdołałam. Chociaż w środku wrzałam, ale już miłością i przywiązaniem. Oddaniem, więzieniem, brakiem wolnej woli. A to coś, co rozpoznałam, gdy go ujrzałam po raz pierwszy, wprowadziło się wówczas do mnie, jakby wsadził mi do środka kawałek swojej istoty, ofiarował część swojego ja. Ty też to masz, córeczko. To właśnie ów płomień, który nie gaśnie.

– Nie tak, mamusiu. Nie o uczuciach. Nic tutaj nie zostało prócz uniesień i emocji. Mów o szczegółach, akordach woni, pogodzie, wietrze, potrawach, jakich próbowałaś. O słońcu. Jak to jest – wyczuwać na ciele jego ciepło. A właściwie nie! Inaczej! Zabij mnie, proszę. Boję się, że już nigdy nie ujrzę nieba. Nie potrafię sama, nie wiem jak. Zaciśnij palce na szyi. Łaknę tego. Tak będzie lepiej. Nagródź za to, że byłam grzeczna. Taki wybrałam sobie prezent na każde urodziny spędzone w tym więzieniu. Tylko tyle! Spełnij życzenie. Zgódź się, przecież mnie kochasz. Kochasz, prawda?!

Wolałabym, żeby mnie nie było, mamó.

– W górze tyle gwiazd, w dole tyle miast, gwiazdy miastom dają znać, że dzieci muszą spać. Ach śpij, kochanie, jeśli gwiazdkę z nieba chcesz, dostaniesz. Czego pragniesz, daj mi znać, ja ci wszystko mogę dać, więc dlaczego nie chcesz spać, aaa, były sobie kotki dwa, aaa szarobure obydwu.

Oddychaj spokojnie. Coraz słabiej. Za chwileczkę zaśniesz. Twoje serduszko zwolni, żeby za moment całkiem się zatrzymać, czekając, aż się obudzisz, bo kiedyś się obudzisz, obiecuję. Nie będziesz się złościć, nie będzie bólu. Niech ci się przyśni, jak tańczysz albo spacerujesz po lesie, albo pływasz w gliniance na wsi, u babci. Albo nie! Jak lecisz nad miastem, machając wielkimi skrzydłami. Tymi z kamienicy.

Mamusi, przecież byłam grzeczna
Copyright © Rafał Cuprjak
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Bernadeta Leśniowska-Gustyn
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2018 r.

druk ISBN 978-83-7995-149-9

epub ISBN 978-83-7995-150-5

mobi ISBN 978-83-7995-151-2

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Marta Kładź-Kocot
Korekta: Aleksandra Ślósarek
Skład, typografia i digitalizacja: proAutor.pl
Ilustracja na okładce: Bernadeta Leśniowska-Gustyn
Projekt okładki: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl